

# Pismo.

MAGAZYN OPINII

PAŹDZIERNIK 2023 | NR 10 (70)

SOCZEWKA

## Kogo uwiodła Konfederacja?

PORTRET

## Giorgia Meloni: włoska prawica nie oddaje pola

ESEJ

## Frapujący efekt lodu

LITERATURA

## Maria Reimann Małgorzata Rejmer

CENA: 18,99 zł (W TYM 8% VAT)

ISSN 2544-5022 INDEKS 422258

10 >



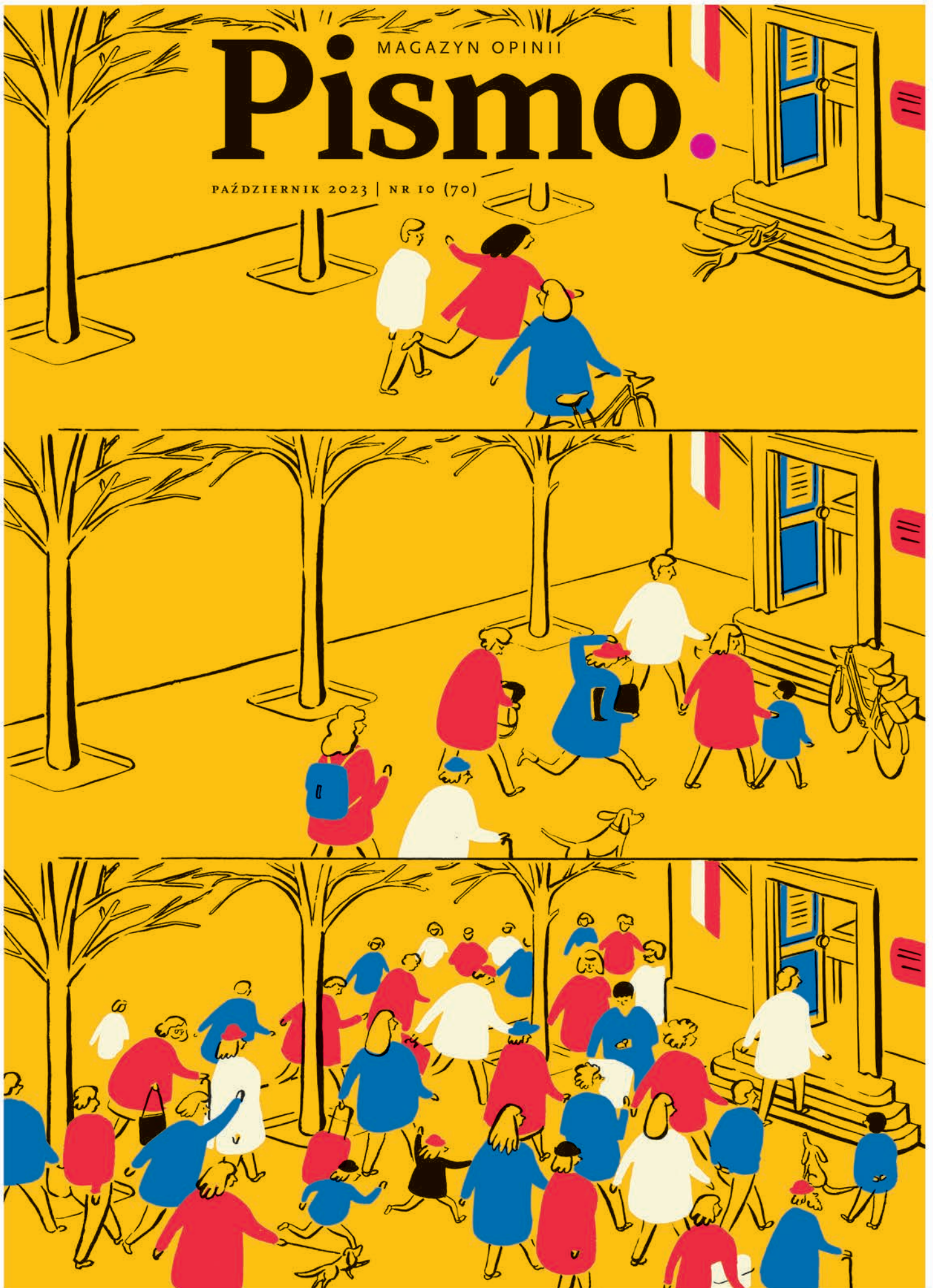
9 772544 502302



MAGAZYN OPINII

# Pismo.

PAŹDZIERNIK 2023 | NR 10 (70)



**Zamów** prenumeratę  
z dostępem online  
w **niższej cenie** na zawsze.\*

MAGAZYN OPINII  
**Pismo.**



**Zamów prenumeratę miesięczną z dostępem online, a otrzymasz:**

- co miesiąc najnowszy drukowany numer „Pisma”,
- wysyłkę magazynu, tak aby doszedł przed premierą,
- możliwość korzystania z wygodnej aplikacji mobilnej,
- dostęp do wszystkich treści w serwisie bez reklam,
- magazyn w wersji na czytniki (pliki: PDF, ePUB i MOBI),
- wydanie audio czytane przez profesjonalnych lektorów i lektorki,
- dostęp do wszystkich sezonów Śledztwa Pisma,
- dostęp do pełnego cyfrowego archiwum miesięcznika,
- dodatkowe treści udostępniane tylko online,
- możliwość dzielenia się treściami z osobami, które nie mają dostępu do „Pisma”,
- newslettery „Zachwyty”, „Wybór zagraniczny” i „Powody do radości”,
- ilustracje okładkowe do pobrania w wersji do druku (PDF bez tytułów),
- możliwość uczestniczenia w spotkaniach z cyklu Premiera Pisma,
- zaproszenie do zamkniętej społeczności na Facebooku.

Wejdź na [magazynpismo.pl/kup](https://magazynpismo.pl/kup) i skorzystaj z promocji.

\* Oferta ważna do 31.10.2023 r. Promocyjna cena obowiązuje przy zachowaniu ciągłości subskrypcji.

18,99 zł miesięcznie  
**14,99 zł**



[magazynpismo.pl/kup](https://magazynpismo.pl/kup)

# MAGAZYN OPINII Pismo.

PAŹDZIERNIK 2023

## PROZA

**Powrotniki** | 6  
ZOFIA SAWICKA

**Zaburzenie** | 90  
MAŁGORZATA REJMER

## POEZJA

**Jak przewijać dziecko poza domem** | 3  
GRZEGORZ UZDAŃSKI

**Wielki powrót Kodaka** | 51  
MARCIN CZERKASOW

## PROZA POETYCKA

**Nie bądź dzieckiem** | 13  
MARIA REIMANN

## OBRAZ

W KADRZE | 4  
NATALIA KEPESZ

FOTOREPORTAŻ **Na targu Jagalchi** | 60  
MACIEJ JABŁOŃSKI

W RAMACH PISMA **Pozdrowienia z Alej (...)** | 76  
ZOFIA PŁOSKA-CZARTORYSKA o JOANNIE RAJKOWSKIEJ

SZKIC **Perełka** | 85  
KATARZYNA BELCZYK

OKŁADKA **Daj głos**  
ROBERT CZAJKA

## FELIETON

2 | ROZMOWY Z K. **Podróż fiatem przez galaktykę**  
KAROLINA LEWESTAM odpowiada na pytanie czytelnika

96 | **À propos aktywności politycznej**  
ZUZANNA KOWALCZYK

## APTECZKA

95 | **Co w niej trzyma...**  
RYSZARD KOZIOŁEK, pyta MATEUSZ ROESLER

## SOCZEWKA

14 | **Nareszcie wolni. Twarze Konfederacji**  
MIROSLAW WLEKLY, AGATA GRZYBOWSKA i wyborcy nowej polskiej prawicy

## PORTRET

42 | **Giorgia Meloni nigdy nie zmienia zdania**  
FABIO TURCO o populistycznych zapędach premierki Włoch

## REPORTAŻ ŚWIAT

52 | **Bycie biednym w RPA jest bardzo drogie**  
TADEUSZ MICHROWSKI o Kapsztadzie trzydziści lat po upadku apartheidu

## ESEJ

70 | **Najbardziej niedorzeczne odkrycie nauki o żywieniu**  
DAVID MERRITT JOHNS o zaskakujących korzyściach z jedzenia lodów

78 | **Udomowieni dzicy znowu dzicy**  
MARCIN PRZYMENCKI tłumaczy nieprzyjemną prawdę o naszych pupilach

MAGAZYN OPINII  
**Pismo.**

Pismo. Magazyn opinii  
www.magazynpismo.pl

Wydawca: Fundacja Pismo  
ul. Wojciecha Górskiego 1/66,  
00-033 Warszawa  
KRS: 0000689263, NIP: 1182150957

Prezes Zarządu: Piotr Nesterowicz  
Członkinie Zarządu:  
Magdalena Kicińska, Kalina Wyszyńska

Adres redakcji: Pismo. Magazyn opinii, ul. Wojciecha Górskiego 1/66, 00-033 Warszawa,  
Redaktorka Naczelna: Magdalena Kicińska, Kultura i sekretarzowanie redakcji: Katarzyna Kazmierowska,  
Weryfikacja faktów: Marcin Czajkowski, Idee: Karolina Lewestam, Ekonomia i Technologie: Zuzanna Kowalczyk,  
Redakcja: Urszula Kifer, Magdalena Salik, Zofia Sawicka, Ilona Turowska, Korekta: Monika Marczyk, Dorota Śrutowska,  
Wydanie cyfrowe i audio: Barbara Sowa, Ewa Pluta, Iga Gromska, Karolina Wasiczek  
Projekt makiety: Jacek Utko, Redaktorka Artystyczna: Karolina Mazurkiewicz, Skład i łamanie: Marta Juchnowicz-Bierbasz,  
Szefowa Marketingu i Sprzedaży: Kalina Wyszyńska, Marketing: Mateusz Roesler, Promocja: Ewa Salamon,  
E-commerce: Anna Ostrowska, Prenumerata i subskrypcja: Marcin Lipiec, Fundraising: Inez Jaworska

Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo do redagowania i skracania.  
Reklama: reklama@magazynpismo.pl, redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń i ma prawo do odmowy publikacji.





**KAROLINA LEWESTAM** (ur. 1979), dziennikarka i redaktorka. Obroniła doktorat z filozofii na Uniwersytecie Bostońskim. Wielokrotnie nominowana do nagrody Grand Press. Członkini redakcji „Pismo”.

Droga K.

Jestem młodym ojcem. Może nie młodym, ale nowym. (...) Nasza maleńka dziewczynka ma dopiero kilka miesięcy. Teraz śpi, a ja patrzę na nią. (...) Jest piękna i dziwna jak stworzenie z innej galaktyki. I muszę przyznać się, że są momenty, kiedy prawie żałuję, że zdecydowaliśmy się na nią, nie dlatego, że dziecko wymaga dużo pracy, nie dlatego, że jej nie kocham. (...) Od kiedy się urodziła, bez przerwy się o nią boję, sprawdzam, czy oddycha, martwię się, że nie je, a nawet budzę się w środku nocy, wcale nie od płaczu (bardzo dobrze śpi, odpukać), ale ze strachu, czy żyje. Żona jest w tym wszystkim normalniejsza, to ja się czuję, jakby ktoś mi ściągnął z głowy koc bezpieczeństwa i cały świat jest nagle zagrożeniem, (...) boję się, że jej nie ochronię, że zrobimy jakiś błąd, ona przecież jest taka maleńka i tak całkowicie bezbronna. Nie mam pojęcia, jak sobie radzić z tak ogromną bezradnością. Naprawdę nie mam pojęcia.

F.

# Podróż fiatem przez galaktykę

Drogi F.,

Moi rodzice mieli dużego fiata. Fiat był brązowy; tylne siedzenie też było brązowe, ze skóropodobnego materiału, który przyklejał się do policzka, kiedy zasypiałam w migającym świetle latarni, wieziona z jakichś imienin zakończonych zbyt późno.

– Czy ona śpi? – pytała mama.

– Chyba śpi – odpowiadał ojciec, a ja ich słyszałam, ale i nie słyszałam; bo przecież nie musiałam ich słyszeć w moim cichym półśnie o stęchłym zapachu kurzu z małą szczyptą spalin.

Nigdy nie czułam się tak bezpiecznie jak wtedy; oczywiście poczucie bezpieczeństwa to nie jest emocja, to żaden faktyczny byt; poczucie bezpieczeństwa jest tylko brakiem. Jest brakiem tych wierzących się myśli, które bezustannie wypuszczają macki i sondują otaczający nas kawałek świata w poszukiwaniu niebezpieczeństw. Kiedy jesteś bezpieczny, po prostu czujesz w sobie jakieś inne rzeczy, na przykład to, jak siedzenie przylepia Ci się do policzka. Nie myślisz o tym, że kończy się benzyna, a ojciec źle skręcił; nie martwisz się, że nie masz zapiętych pasów, bo jeżeli nie zapięli Ci ich rodzice, to widocznie tak miało być. Wiesz, że jest ciemno, ale nie wiesz, że zbyt ciemno, żeby ojciec ze swoim wzrokiem w ogóle mógł prowadzić. Duży fiat jest kapsułą odporną na wysoki rzeczywistości; duży fiat Cię ochroni, a Ty, żeby przetrwać, nie musisz robić nic, tylko ufać, ufać, być.

A potem człowiek, tak jak teraz Ty, sam prowadzi dużego fiata. Duży fiat nie jest już dużym fiatem, ale na przykład toyotą albo całym gospodarstwem domowym z jego zaopatrzeniem, opłatami, kredytem na meble i niepodlanymi kwiatami. Na tylnym siedzeniu leży inne dziecko, które tak bardzo nie jest nami, bo my siedzimy za kierownicą. Znamy już właściwości karoserii: otóż, okazuje się, że nie jest ona odporna na zderzenia ze światem; wcale nie jest twarda jak przeciwbombowy schron; może przez nią przeniknąć promieniowanie kosmiczne i zderzak ciężarówki; trujące gazy, kwaśne deszcze, poborcy podatkowi, gnębiciele szkolni i śmiertelne wirusy. Z tyłu jest dziecko, mój Boże, czy ono śpi? Tak, śpi; śpij, kochane maleństwo, niech prawda o tej podróży (nie wiem, gdzie jedziemy; nie wiem, czy nam się uda) cię nie obudzi. Niech kołysz cię fale światła latarni; tata pewnymi dłońmi trzyma kierownicę.

Drogi F., widok Twojej maleńkiej dziewczynki, Twojej kosmitki z innej galaktyki bywa nie do zniesienia, bo przypomina Ci, że teraz to już naprawdę prowadzisz Ty. Cokolwiek by się nie stało – na drogę wyskoczy jeleni, napadną was złoczyńcy – jesteś Ty i tylko Ty musisz stawić temu czoła. Kiedy ma się dziecko, dorosłość jest już nieodwołalna, zostajesz mianowany kierowcą i nikt nie wręcza Ci GPS-a. I jedno jest na to lekarstwo, gdy ręce Ci drżą, gdy zmieniasz biegi: spojrzeć w sam środek trwogi i zrozumieć, że jesteś zupełnie sam; nie tylko sam z kierownicą (ją byś opanował bez problemu), ale sam z całym przypadkiem świata.

– Po co patrzeć w trwogę? – zapytasz. – Czemu myśleć o samotności? – Bo kiedy spojrzysz w ciemność wystarczająco hardo, może obudzić się w Tobie odwaga. Odwaga, ta stara cnota, dzięki której masz moc. Bo przecież dasz radę. Ochronisz swoją dziewczynkę przed wszystkim, przed czym trzeba ją chronić. I dasz jej wolność tam, gdzie potrzeba jej będzie swobody. Trzymaj kierownicę; niech ona śpi, a Ty prowadź – nic się nie stanie, nic się nie stanie, nic się nie stanie; jesteście bezpieczni, bo jesteście z Tobą.

A jeśli... odwaga odchodzi? Stań na moment na poboczu. W skrytce po stronie pasażera znajdziesz numery pomocy drogowej. Mówiłam: spójrz w samotność; ale tak naprawdę nie jesteś zupełnie sam. Jesteś w drużynie; czuwa z Tobą Twoja żona.

Czasem o trudnych rzeczach dobrze jest napisać do kogoś, kto jest daleko. Napisz do mnie. [rozmowyzk@magazynpismo.pl](mailto:rozmowyzk@magazynpismo.pl)

SDK

Poezja w „Piśmie”  
powstaje  
przy wsparciu  
**Staromiejskiego  
Domu Kultury**  
w Warszawie.

POEZJA

# Jak przewijać dziecko poza domem

GRZEGORZ UZDAŃSKI

—

Jeśli jesteśmy z dzieckiem poza domem najlepiej znaleźć restaurację z przewijakiem (teraz wiele restauracji ma już w toaletach całkiem porządne przewijaki) jeśli w pobliżu nie ma restauracji ani stacji benzynowej (tam także znajdziemy przewijak, choć często w gorszym stanie) wtedy umieszczamy podkład na dowolnej równej powierzchni (stół zazwyczaj jest najlepszy ale ławka także się nada) jeśli nie ma stołów ławek ani w ogóle mebli (choć w lesie są wiaty) przewijamy dziecko w wózku jeśli nie mamy wózka a w pobliżu nie ma wiat umieszczamy podkład na kawałku równego terenu (najlepiej jeszcze na kocu złożonym w pół) jeśli nie wiemy jak go znaleźć bo jest noc i jest zimno i zaraz nas złapią was złapią natychmiast opuśćcie tę instrukcję przebywacie w niej niezgodnie z prawem wracajcie do kolczastej granicy tej instrukcji do dziury którą weszliście to instrukcja dla nas białych rodziców z naszymi białymi dziećmi tak bardzo je kochamy sama myśl że mogłyby w lesie przestraszone nie macie prawa być w tej instrukcji macie na pewno jakieś własne (na tych białoruskich stronach na swoich grupach w tych językach które nie są językami coś tam o Allahu pewnie i jakieś wrzaski) opuśćcie tę instrukcję

GRZEGORZ  
UZDAŃSKI

(ur. 1979), autor powieści: *Wakacje* (2016, nominacja do Nagrody Conrada), *Zaraz będzie po wszystkim* (2019), *Wypiór* (2021, nominacja do Paszportów „Polityki”) i strony *Nowe wiersze sławnych poetów* (wydanej w formie książki w 2021). Występuje w grupie Klancyk i Resorcie Komedi.









W KADRZE

NATALIA KEPESZ | *Niewybuch* | 2020

Uczestnik weekendowego obozu militarnego dla dzieci i młodzieży w okolicach Trójmiasta. Uczestnicy między szóstym a osiemnastym rokiem życia spotykali się co sobotę. Jedno z zadań dotyczyło budowy obozu, a drugie – obrony obozu przed atakiem. W ostatnich latach tego typu zajęcia cieszą się coraz większą popularnością. Autorka w swoim projekcie chciała zwrócić uwagę, że pomiędzy udawaną krwią, musztrą i bezwarunkowym użyciem broni istnieje jeszcze inny aspekt podobnych zgrupowań: kwestia emocjonalnych skutków edukacji wojskowej i napięcia między dziecięcym poszukiwaniem przygody a normalizacją przemocy czy militaryzacją życia społecznego.



selected by  
**EUROPEAN  
IMAGES**

Projekt EUROPEAN IMAGES realizowany przez n-ost, Kajet, Ramina Mazura i Pismo.





PROZA

# Powrotniki

tekst ZOFIA SAWICKA

—  
**Z**ły były raz dwie dziewczynki, dwie koleżanki, Wiera i Maria. Obie jasne, niebieskookie, z włosami jak siano, mysie futerko. Jedna chodziła do cerkwi, druga do kościoła, nikomu to nie szkodziło, nikogo nie dziwiło. Jedna była odważna, druga mniej, ale to w przyjaźni nie wadzi. Razem w polu robiły, boso tańczyły w Kupalinkę, do rana. Zimą razem siedziały na piecu, przytulone, opowiadały sobie straszne historie, o diable Horodlaku, o utopcach studziennikach i o powrotnikach. Motając lalki motanki z gałganków, lalki wieduczki z gryką w brzuszku, z wrotczem we włosach. W lalce Wierki wstążka Marii, w lalce Marysi Wiery wstążka, jak włos, jak los. Splecione, zamotane.

Później przyszła wojna, a z nią obcy w lesie. I to wszystko przez nich. Rozpłóło się, rozmotało, przecięło. I już nie było jak dawniej, wszystko się spaliło razem z tamtą chałupą, życie i przyjaźń.

—  
 ZA OKNEM SZARÓWKA, choć to już piąta. Wstać trzeba. Maria z trudem dźwiga się na łóżku, podpira łokciem. Wyciąga spod kołdry nogę jedną, potem drugą, pomagając sobie rękami, bo nogi po nocy zdrętwiały, opuchnięte fioletowo, aż błyszczą. Wsuwa pokoślawione stopy w łapcie. Łojezu, wzdycha sobie, naśladując w tym matkę, łojezu.

Pod podłogą myszy harcują, dawno już przyszyły z pola, teraz w drewnie chrobocą, mydło przy kranie ogryzły. Wszystko zjedzą, objedzą do kości, w końcu nawet i belki, podwalinę, dyktę ze ścian, aż samo próchno zostanie i złoży się chałupa jak domek z kart, rozwieje na cztery wiatry, razem z dymem z komina. Trzeba będzie z Krasiukiem ugaść się, żeby podwiózł do Mrówki, tam kupić trucizny, różowej, pachnącej. Rozsypać po kątach. Żal myszy, ale nie myszy to dom, tylko ludzki. I człowiek ma w nim pierwszeństwo.

Piec jeszcze ciepły, przykro spod pierzyny wychodzić, z izby, z chałupy. Tyle dobrego, że krowa już w oborze, bo wyjątkowo chłodny wrzesień. Zwykle do zimy w polu stoją, nawet nocą, ale od lasów wilki idą, dla Krasiuka już byka poszarpały. Nawet mała co ruszyły, ot tak, dla zabawy, przez bok, po nogach, ledwie gryznęły. A po nocach wyją. Prawie ludzkim głosem, przejmująco, jakby

rozum własny miały, jakby jakąś historię chciały opowiedzieć.

Łajza szczeka, braciom odpowiada, choć nawet nie chce mu się z budy wyleźć, tak sobie półpyskiem dziamga na leżąco. Może przez sen? Może mu się śnią obcy na podwórku, skrzygnięcie furtki, cień pod ścianą obórki. Może po psiemu krzyczy, że przyszedli, z lasu wyszli, szybko, szybko, wołajcie po pana szucmana!

Cicho, sobaczko, nie trzeba. Nikt nie wołał.

Ech, pospać by jeszcze, przespać mglisty świt, czas ranny, na wpół nocny. No, ale to najmłodsza do krów wstaje, zawsze tak u nich było, więc naciąga Maria kapotę i rusza do chliwów. Nad ziemią biały opar, nisko, liże łydki. Wysrebrzyły się pasma trawy, trzeszczą pod gumiakami. Skobel od obory zimny, a parzy w palce jakby gorący. Skrzypią drzwi z ciemnych zbutwiałych desek.

Krowina senna, pyskiem miele, przymyka oczy mokre, wielkie. Tryska do kubła gorące mleko, z hukiem uderza o blachę, paruje w powietrzu. Ogrzewając palce o wymiona, myśli Maria, jak by to oborę urządzić. Może krowę w kąt przestawić, razem ze żłobem, a tu, o, wstawić łóżko rozkładane, polówkę z brezentu i aluminiowych rurek – jest taka gdzieś na stryszku. Z drugiej strony, lepiej, żeby krowa była blisko, zawsze to zwierzę, duże, ciepłe, ogrzeje trochę. A przecież innego ogrzewania Maria im w tej oborze nie sprawi, bo skąd. Prąd przedłużaczem pociągnąć? Nie ma tyle kabla, zresztą dotykać prądu boi się. Koksownik postawić, piec jaki? Tego by tylko brakowało, żeby Siemoniuki zza płotu dym zobaczyli. Gotowi jeszcze donieść. Więc z tym pomału i ostrożnie trzeba. Najpierw dobrze wszystko obmyślić.

Jak już krowę oporządzi, wraca Maria z powrotem do chałupy. Podpala pod garnkiem, zagrzewa sobie świeżego mleka. Do tego skibkę chleba z masłem, od rana apetyt u niej mały. Gdy już poje, resztę mleka przelewa do butelki, resztę chleba zawija w ściereczkę i kładzie do kosza, obok kozika wziętego dla niepoznaki, że niby na grzyby. I jeszcze komórkę, naładowaną, na wszelki wypadek. A potem słoniny kroi, hojnie. I zupy z wczoraj daje do słoika, gęstej, sytej. Kosz ciężki, ale przecież udźwignie.

Udźwigniesz, mówi matka, poradzisz. Tylko szybko idź, nie oglądaj się. Jak cię zaczepią, mów: niś fersztejen i mów: pilce-pilce, i koszyk pokaż, tylko nożyka wysoko nie podnoś, ostrym do ziemi trzymaj. Mleko jest dla ciebie i sało dla ciebie, przecież oni świny nie jedzą. Tak Niemcowi powiedz. Bo jak nasz szucman będzie, to się nie ma co martwić. Sąsiad w końcu. Uśmiechniesz się dla niego, to cię puści. Przecież on wie, co my za ludzie.

Jeszcze tylko chałupę zamknąć od obcych i złodziei. Nie robiła tego dawniej, ale teraz kto wie. Kto to wie, znów nocą obcy po wsi chodzą, z lasu wystają, całkiem inni i do ludzi niepodobni.

—  
 TAK WIERKA MÓWIŁA, kiedy jeszcze żyła: nocą trzymaj się, Marysiu, domu, nosa nie wyściubiaj, bo nocą po wsi powrotniki łążą. Dwójkami, trójkami, całymi gromadami. Twarze czarne, czarne ręce, długo w ziemi siedziały, od tej ziemi poczerniały i namokły. Pod drzwiami szurają, w okiennice, w szyby stukają. W rękach patyki wystrugane w pistolety, „Chleba dajcie, mienie ukradzione oddajcie” – nawołują, patykami grożą. Więc lepiej dom na noc zamykać. Lepiej nie widzieć, nie słyszeć.

Strachliwa była ta Wierka.

—  
 Z KURNIKA, dawno przerobionego na składzik, wyciąga Maria rower – pogięty, skrzypiący. Póki jeszcze umie nogę zadrzeć nad ramą, póki w biodrze nie strzyknie, nie pęknie jej tam coś jak starej Krasiukowej, póty sobie pojeździ. Ojcowy to rower jeszcze, ciężki, z siodelkiem skórzanym, wyslizganym na błysk, dziś już takich nie robią.

Łajza cieszy się na wyprawę, piszczy, ujada. Ale Maria go nie weźmie, paszół do budy, zagania, bo pies już stary, na lewej łapie guz paprzący, bielmo na oku, mógłby nie dać rady. Poza tym szczekliwy, nie trzeba jej tego.

Mocuje kosz na bagażniku i wyprowadza rower za furtkę, na drogę. Mgły kładą się nisko przy ziemi. Krzyczą na niebie żurawie, kołują kluczem zagiętym jak pogrzebac, na odlot się zwołują, do Syrii, do Syjonu, do swojego domu.



Naprzeciwko za płotem kręci się Siemoniuk Mikołaj, mały Kola znaczy, niby za jakąś robotą, ale co by miał mieć do roboty taki stary dziad? Dzieci obrabiają gospodarzkę, a on cały dzień przy drodze wystaje z łokciami opartymi o sztachety albo kości grzeje na ławeczce przed domem. I tylko patrzy, kto przez wieś idzie czy jedzie, skąd, którędy i po co. A na nas podwójnie, przestrzega matka, zawsze prawosławny na katolika koso patrzy. Niby sąsiedzi, niby swoi, tutejsi, ale do czasu.

SIEMONIUK POZDRAWIA Marię uprzejmym słowem, szura gumiakiem, nawet czapkę zdejmuje i w rękach miętoli, taki galant. Na kawalerów uważaj, mówi matka, krótko ich trzymaj, niech im się nie wydaje. Ale to przecież tylko mały Kola, jaki tam z niego kawaler? Szczyl i gołodupiec. Zresztą widać, że nie zaloty mu w głowie, zafrasowany, pogadać chce. Kukurydza na kiszonkę gotowa do koszenia, na ziarno też zaraz. – Jak ja – pyta – kukurydzę zbiorę, przecież tam trupy leżą.

– Ja nic nie wiem – mówi Maria na wszelki wypadek – ja po hryby.

– Wczoraj, jak synowa na grzyby pojechała, dwa razy sprawdzali ją. Bagażnik dla niej otwierać kazali, czy ludzi nie wiezie. A tam grzyby tylko.

– Tylko – zgadza się Maria, na dowód pokazuje kozik, tak jak matka uczyła, ostrym do ziemi. I zaraz na rower się gramoli, uderza nogami w pedały, skrzyp, skrzyp, już jej Mikołaj nie dogoni.

Zawsze mu tak z Wierką uciekały, bo kto by chciał ciągać ze sobą małego brata, co jeszcze koszulę w zębach nosi, smarki ma po pas? Utrapienie było z tego Koli. Ale i sprytny, trzeba przyznać. Do Wierki całkiem niepodobny, może to mu w życiu pomogło. Jak się to wszystko zadziało, w zbożu się schował, trzy dni nie wychodził. I dobrze zrobił.

TERAZ TRZEBA jej śpieszyć się. Długi kawałek ma przed sobą, wcale nie tak blisko ze wsi do Puszczy. Najważniejsze, żeby przed nocą zdążyć w tę i nazad obrócić, przed zmrokiem już być w chałupie, napalić w piecu, lampy pozaświecać. Drzwi zamknąć na skobel, kołkiem podeprzeć, zanim wyleżą ze swojej ciemności powrotniki, zanim się o nią upomną.

Wczoraj znów tu byli. Chwilę siedzieli cicho, z uchem przy drewnie, nasłuchując, jak od tygodnia, odkąd pierwszy raz znowu usłyszała na podwórku stukot kosteczek. Ale w końcu rozeźliła się. Czego tu oni?! Otworzyła drzwi na oścież, wydarła się w noc.

– A wy tu czego, czego? Po co po wsi łazicie, po co się przypominacie? A może ja nie chcę pamiętać? Wracajcie w las, siedźcie w waszej ziemiance, siedźcie cicho! Sama po was przyjdę.

NO TO TERAZ IDZIE. Jedzie. Najpierw drogą wiejską, szutrową, trochę zęby dzwonią na wybojach, w dziurach wyjeżdżonych ciągnikami. Droga biegnie wzdłuż Siemoniukowej ziemi, wzdłuż pogorzelska. Tak się jeszcze ciągle mówi, chociaż jakie to tam pogorzelsko? Buczyna zdrowa, strzelista, grzybna. Gdy mech i trawy rozgarnąć czubkiem buta, lepiej się przypatrzeć, no to tak, są fundamenty, zarys chałupy, chlewa i stodoły. Stara studnia, co sam Kola pilnuje raz w czas nowe deski położyć, żeby kto nie wpadł, nie umarł i nie został studziennikiem stękającym, nocą po wsi chlupocącym. Ale poza tym tylko porost na kamieniach, zarośnięte wszystko, trawą oplecione, zamotane. Kto by pamiętał, że się paliło? Tylko ci, co przy tym byli.

A przecież nikogo przy tym nie było.

A już na pewno nie mnie, myśli Maria, mocniej uderzając stopami w pedały, mnie nie. Ja nic nie widziała i nic nie słyszała.

POTEM KAWALEK bielską szosą, gładką, asfaltową sprzężystą. Trochę na widoku, jak na widelcu, ale tak szybciej, niż się przez chęchy jakieś przedzierać, na korzeniach telepać, nie daj Bóg kamień pod koło wskoczy, jak rymśnie do rowu, kto ją zbierał będzie? I tak zresztą wie, gdzie stoją. Zawsze w tym samym miejscu, za kępą, za zakrętem. Ławo ominąć.

Kto by tam zresztą zwracał uwagę na chudą dziewczynkę zgarbioną nad kierownicą jak staruszczyk? Maria chichocze, oszuka pograniczników, będzie udawała staruszkę. Do kierownicy przygnie się, wolno będzie pedałowac, skrzypu-skrzyp. Zejść każą? To będzie powłóczyć nogą, nogę za sobą wlec. Chichotać jak głupia, bez powodu. Pomyślą:

wariatka może, nie ruszą. Wariata zawsze strach. Bardziej niż Horodlaka.

Zapytają jednak? Też nic.

A gdzie to babcia wybiera się? A po hryby, po hryby, panie szucman. W koszyku gazeta, na gazecie kozik, komóreczka, pod gazetą jajeczka, zupa w słoiku i sało. Dla mnie, a dla kogo? Tamte świny nie jedzą. Wolno mieć jedzenie dla siebie ze sobą. A rowerem też przecież nikogo nie wiezie, kogo by wieźć mogła, mysz może. Więc zaglądamy sobie, w ramie, w dzwonku dzwoniącym szukajcie i pod siodełkiem. Wiatru w polu, wolna wola.

Będzie harda, jak matka.

Nic nie mamy do ukrycia, mówi matka, biorąc się pod boki, zaglądamy, gdzie chcecie, nikogo nie znajdziecie. W piwnicy tylko kartofle i brukiew. My tu nikogo nie trzymamy. Co innego sąsiedzi nasze, Siemoniuki, może u nich sprawdźcie.

Mama, co ty? Czego im każesz do Siemoniuków chodzić, przecież Wierka wystraszy się, jak zaczną w drzwi walić. Ona strachliwa.

JUŻ ZARAZ KĘPA, ta, za którą stoją. Maria zwalnia, wygląda za zakręt. Oj, niedobrze. Jednak może lepiej nie pokazywać się, z roweru zsiąść, już teraz skrócić w boczną ścieżynkę i dalej w hrabniak, bo coś dużo ich tam. Przy szosie, na poboczu dwa samochody, jeden zielony, oznaczony. Z drugiego dwa chłopaki młode, znajome wysiadają, tłumaczą się.

– No jeździmy, babki naszej szukamy.

– Tak po lasach?

– A kto ją wie, gdzie poniesie ją? Ona pomyłona. Już nam trzy razy z mieszkania w Hajnówce uciekała. W autobus wsiadała i tyle ją widzieli, jechała do starej chałupy nocować. Tośmy jej w końcu na lato dali do wsi wrócić, ona tu trochę normalniejsza, więcej z życia rozumie. Sąsiedzi dopilnują. Tylko jeździć do niej trzeba, zakupy wozić, sprawdzać.

– No i co, sprawdzili? – pyta mundurowy, też młody, przyszczaty.

– No, niby tak, ale w chałupie jej nie ma. Tylko pies w budzie przybłąda i sąsiadów krowa w oborze. Wydojona w dodatku.

Tamci głowami to kiwają, to kręcą, ale jednak każą otwierać. Mus to mus, sami rozumiecie. Ale bagażnik pusty, znaczy od

ludzi, bo tak to są torby z karkówką, serem i jogurtami.

– Mięso wieprzowe – mówi na wszelki wypadek ten młodszy. – Surowe zresztą, sami widzicie.

I już w porządku, już można zamykać. Jeszcze tylko pouczenie.

– Niedobrze, niedobrze, że wam babcia w las poszła, nie wiedzą, co tam za ludzie siedzą, chodzą? Same chłopaki młode, silne, a co oni mają w tych swoich komórkach, komputerach? Głównie obcinania! Kóz kopulowania! A jakie mają maczety, pistolety! Drony na baterie słoneczne! Termokocce! Powerbanki! Całą infrastrukturę. A jakie buty! Tylko Puma, Adidas! Niebezpiecznie, oj, niebezpiecznie kobietę samą do lasu puszczać.

– My jej nie puszcza! Sama urwała się!

– A dasz takiemu palec, kawałek chleba, szklankę wody, to całą rękę weźmie! Idź ze mną do urzędu, powie ci, daj prądu, daj internetu, daj azylu! I ani się obejrzysz, zrobi ci państwo islamskie w dużym pokoju. Byli kiedy w Szwecji? Nie? Kuzyn sąsiadki matki był i widział.

Maria kiwa głową, schowana za swoim krzaczkiem, co prawda, to prawda. Zna ona tych obcych, tych nocnych gości z pistoletami z patyka. Już ich widziała, od tygodnia po wsi łąż, przez okna do chałupy zaglądają, kamyczkami w szybę rzucają.

—  
NAJCZĘŚCIEJ się widywało dwóch braci, nazywali się Symcha i Chaim Klejnotowie. Jesienią czterdziestego drugiego przeleźli w Siemiatyczach przez płot, lasami, polami doszli aż do wsi. Najpierw tylko we dwóch w hrabniaku chowali się, ale potem paru swoich znaleźli, jednego na wpół ślepego starca, co szybko umarł, bo go jedzenie od chłopca w zęby kłuło, że niekoszerne, i Cywę wdowę, całkiem po getcie oszalałą. Poza tym mieli tam jeszcze chłopczyka Abramka, który się urwał z Brańska, a jajka tak kradł, że się kura nie budziła, żaden pies na niego nigdy pyska nie otworzył, bo kieszenie pełne miał małych kosteczek, jak szedł, to stukotał, psy milkły na to stukotanie, kładły się chłopcu u stóp, a on się z nimi dzielił. Była jeszcze dziewczuszka mała, czarnooka, czarna jak diablątko – rodzice z wagonu wyrzucili, Symcha znalazł, przycignął. No i tak sobie

gromadką w ziemi siedzieli, na chłopskiej łasce. Jak więcej zgłodnieli, to nabrali odwagi, przestali prosić, zakradać się nawet. Nocą zaczęli się bracia Klejnotowie z Abramkiem do drzwi dobijać, grozić drewnianymi pistoletami: dajcie chleba, dajcie kartofla.

Trzeba było w końcu po szupo zawołać, żeby jakiego nieszczęścia z tego nie było.

—  
KTO ZAWOŁAŁ? Tego Maria nie wie, nie pamięta. Stara jest, skąd ma pamiętać wszystko? W każdym razie od tego czasu już ich nie widywała, dopiero tydzień temu zobaczyła znowu, pod wieczór, kiedy mgły podniosły się od ziemi, zwilgocły wszystko, zmieniły w szarość, niejasność. W pierwszej chwili nie poznała. Jeden z tyłu przy płocie, plama ciszy. Drugi w kurcie za wielkiej, w kapturze, czarne oczy w czarnej twarzy.

– Symcha?

Nic jej nie powiedział, ręce wyciągnął jak po chleb, więc zląkała się, szybko do chałupy wróciła, drzwi zawarła, plecami podparła. Powrotniki idą! Idą mścić się za krzywdy, odebrać, co swoje! Po mnie idą! A ja taka dobra dla nich byłam, taka dobra! Słoniny im do lasu chciałam nosić!

Rano zawstydziała się własnego strachu. Z nich dwóch to Wierka bardziej bała się, nie? Tak się przynajmniej Marii zdaje, kiedy słońce świeci i nocni goście już nie tacy straszni. Może i grożą patykami, ale to przecież tak tylko, co im prócz patyków zostało? Wszystko przewoźnik zabrał albo zostawił za murem. Dziura w ziemi wykopana, pod chlewem, pod drzewem, garść słomy na strychu, jak dzień lepszy. A matka przecież zawsze...

Matka jej wtedy dała w twarz, aż zadzwoniło. Czego chleb z domu wynosisz? Za dużo mamy? Że Siemoniuków Wiera łązi z koszem w las, nie nasza to sprawa, ale ty w domu na dupie siedz.

—  
EEE, MARI! MATKA by tak przecież nie zrobiła. Marii matka jej nie bije, a na pewno nie mocno.

Matka mówi: weź chleba, mleka, lalkę motankę ze szmatek dla dziewczyneczki, żeby miała czym w ziemi bawić się. I kawał słoniny. Ktoś tam gadał, że oni świniny nie

FRANZ  
ROGOWSKI

BEN  
WHISHAW

ORAZ ADÈLE  
EXARCHOPOULOS



„Uwodzicielska gra  
w pożądanie”

SCREEN INTERNATIONAL

# PRZEJŚCIA

REŻYSERIA IRA SACHS



W KINACH





zjedzą, bzdura, głodny wszystko zje. Maria wie, że to prawda, pamięta to uczucie, żółdek zaciśnięty w pięść, smak brukwi jak miodu.

Omija stojące na poboczu samochodu, jeszcze przed kępą zbacza z szosy, wchodzi między drzewa, w las. Nikt jej nie złapie, nie będzie pytał. Zna ścieżki, nisko przy mchu, brzezina, hrabniakiem. Najpierw przez rów, ten maślakowy – tam rower zostawi, schowany w kępie traw, przykryty gałęziami. Potem kawałek skrajem pola, obok poszarpanej przez wilki sarny, która już cuchnie trochę, już jej zebra wyszły na wierzch.

JAKIŚ CUDEM zdołali uciec wtedy, po tym pierwszym donosie. Gdzieś się przenieśli, znaczy oprócz wdowy, bo już nie chciała uciekać, z ziemianki ją kolbami wykopali, na miejscu rozstrzelali. Ale chłopaki z dziećmi uchowali się, to w kopcu kartofli, to u kogoś w chlewie, w piwnicy pod podłogą. Aż wreszcie dostali kąt w oborze, w dzień na stryszku, w sianie czystym i pachnącym, w nocy mogli sobie zejść na dół, przy krowie się zagrzać.

Dobrze to Maria wymyśliła!

Szkoda, że się na koniec spaliło.

A i tak by wcale do nich nie chodziła, nic by im nie nosiła i nie zapraszała do siebie, gdyby nie ta mała. Maria zawsze była do dzieci czuła, po głowach głąskała, cukierki dla nich dawała, jabłka. I na UNICEF płaciła, kupowała brzydkie pocztówki z krzywą kulą ziemską na głodne Murzyniątko. Bo dzieci to dzieci. Niczemu niewinne. Nawet czarne, nawet cygańskie, żydowskie.

A TĘ SARNĘ to nie wiadomo, kto zastrzelił. Kłusownicy może? Tu się często widuje sarny, pod lasem na Siemoniukowym polu. Dwójkami, trójkami. Raz po raz głowy unoszą, strzygą uszami, czujne. I byle trzask gałęzi, byle wystrzał, zaraz pierzchają, wysokimi susami ponad ścierniskiem, potem w wysoką kukurydzę i dalej w las, hyc, hyc, gładkie, szybkie. Tylko pompony ogonów bielą się jeszcze chwilę między drzewami, między gałęziami.

Nie dalej jak tydzień temu stała sobie Maria z wieczora, pod słońce patrzyła za sarnami i wtedy nagle w kukurydzy pokazała jej

się dziewczyneczką. Nie w sukience, w kombinie z grubym, zielonym, ale ta sama. Ta co wtedy. Oczy czarne, włosy czarne, pręgi od łez wyżłobione w zakurzonej twarzy. Skąd się tu wzięła ta mała? W biały dzień?

– Sio! – machnęła na nią Maria. – Uciekaj, bo jeszcze ktoś zobaczy cię! Ktoś powie dla szucmana!

Ale Żydóweczka nic, tylko palec brudny w buzię wsadziła i tak stała, oczami sarnimi na Marię gapiła się. Spomiędzy kukurydzy.

WEŹ CHLEBA dla Żydóweczki. Laleczkę zamotaj, wieduczkę.

A po co? A bo jej się należy?

Matka opowiadała, że jak Ruskie przyszli, Żydki pierwsze z radości tańczyły, chlebem ich, solą witały. W Ciechanowcu bramę zrobili, łuk tryumfalny, cały w kwiatkach! „Niech żyje rząd sowiecki” – tak napisali! Niedługo było tej radości, no, ale co się nacieszyli, to ich. I jakby nie dość było własnych, jeszcze się najechało Żydków z Generalnej Guberni, bez grosza przy duszy, bo przewoźnik oszukał, cały majdan zabrał, zostawił po drugiej stronie rzeki. Bywa. Nie ich pierwszych, nie ostatnich. A i tak dobrze im tu było, zwłaszcza tym niezbyt religijnym. Taka od Rosenbaumów Hajka – poszła za sekretarza, pojechała na Wschód na

wozie, jak pani, tylko za wozem stara Rosenbaumowa biegła, z kugłem, z gęsią żywą, po swojemu coś tam szwargocąc, ręce załamując, że nie pod chupą, że jak zwierzęta. Im też w końcu Ruski dopiekl, synagogę na magazyn przerabiać kazał, a potem myk, myk, uciekł szybko, paru Żydków komunistów najzacieklejszych też myk, za krasnoarmiejcami, reszta została. A potem drugi raz przyszedł Niemiec. I się skończyło tańcowanie. Jeszcze im w Siemiatyczach kazali wyprawić pogrzeb pomnikowi Lenina, co to śmiechu było! Najpierw z zawodem, z płakaniem, idzie Żydków kondukt, każdy niesie kawałek, kamienną nogę, głowę, pół dupy. I chlup, chlup, Lenina do rzeki, po kawałku. A potem już tylko tańcować, się radować, podskakują, śpiewają swoje szelne hopke, hopkele. No, ale to był ostatni taki występ w Bezirk Białostok. Potem ich zaczęli spędzać. W Siemiatyczach, w Bielsku, w Orli, w Prużanie. Mury pobudowali, płoty postawiali, oddzieliłi.

Weź chleba dla Żydóweczki, mówi matka, ale czy Marii matka?

BĘDZIE POLANA. Tam się z nimi spotykają, tam im noszą.

Pamiętaj stanąć pośrodku, jedzenie przed sobą ułożyć, chleb i jajka, i lalkę motankę.

MASTERS & ROBOTS '23! } Edition

Future is What Matters

Dołącz do VII edycji Masters&Robots

18-19 października  
Warszawa + online

15% zniżki dla czytelników Pisma z kodem\*: Pismo15  
Wejdź na: [mastersandrobots.tech](https://mastersandrobots.tech)

\*Kod ważny do 13.10.2023 r.

Solą obsypać w krąg, żeby złe zatrzymać, żeby nie przyszły się mścić obce duchy, powrotniki.

Mają za co.

—  
LAS CORAZ GĘSTSZY. Cichy, wszystko pomilkło. Gdzieś w niebie zbierają się, czernieją chmury na przewlekły deszcz. I czubki sosen drżą, jakby nimi Horodlak trząsał.

W tej ciszy głosy rozbrzmiewają jak wystrzały. I to nie są głosy ludzi, co nie chcą być znalezieni, takie głosy Maria zna, potrafi odróżnić. Tam są słowa buńczuczne, hardości, stawiania się.

– Dokumentów nie pokażemy. Najpierw sami się panowie wylegitymujcie.

Maria ostrożnie przedziera się przez gęstwinę, podchodzi po cichutku, wygląda z za pnia. Dziewczyny młode, lat najwyżej trzydzieści, strażnikom stawiają się. Na plecach plecaki wielkie, wyładowane. Jedna ma włosy różowe, druga całe w supłach nieporządnym, jak kołtun specjalnie robiony, popleciony jak u motanki, już im całkiem w głowach poprzewracało się.

– Dziecko za płot przerzucisz? A spać w nocy możesz?

W trawie leży Symcha Klejnot, mokry cały, trzęsący. Świeżo z ziemi wykopany, ręce pomarszczone jak u utopca, studziennika. I młodszy niż Maria pamięta, może mieć z piętnaście, szesnaście, nie więcej.

– Jakie to dziecko! Mężczyzna dorosły, niebezpieczny. Prosimy zdać urządzenia nadawczo-odbiorcze i oddać się. Zakaz fotografowania! I kamerowania!

Młode nie dają sobie zabrać telefonów, za plecami chowają, po kieszeniach. Tamci trochę pogłupiali, nie wiedzą – odpuścić czy siłą zabierać, może z pistoletów celować, a może nie. Więc tylko z nogi na nogę przestępują, po kominiarkach drapią się i jęczą:

– Prosimy opuścić teren zadrzewiony. Prosimy opuścić strefę opłocenia!

Ale one nic sobie z tego nie robią, na ziemi koło Symchy siadają, drzew się trzymają. Spokojne, jakby się nic nie bały. Na policję chcą dzwonić, na pogotowie.

Głupie wy, cicho siedźcie! Jeszcze wam dom spala i oborę. Albo i w plecy strzelą. Z nimi trzeba przymilnie, uśmiechem, podstępem. A nie zaraz, że legitymuj się. Trzeba

skromnie, rączki w małdrzyk, wzrok w ziemię. Trzeba mówić: panie szucmanie dobry, kochany, ja po hryby, ja nic nie wiem, nic nie widziałam. Oto kozik na dowód. Oстрым do ziemi trzymany.

A najlepiej to w ogóle nic nie mówić, nigdzie nie chodzić. Omijać pola, lasy, doły.

Ale te nie. Nic przezorności nie mają. Te swoje:

– Nie wstyd wam? Matce w oczy możeście spojrzeć?

—  
MATKA DOŻYŁA dziewięćdziesiątki w dobrym zdrowiu, złego diabli nie biorą. A potem dwa tygodnie plackiem w pościeli leżała, łojezu, łojezu, wołała, dniem i nocą. Pytała Maria, trzeba ci czego? Poduszki poprawiała, pościel zmieniała i pieluchy, żeby zawsze czysto, schludnie. Ale matka jakby tej bieli pościeli nie widziała, matka w szeroko rozwartych oczach miała płomień chałupy Siemoniuków. Łojezu, łojezu, wołała, nikogo nie poznawała. I tylko czasem łapała Marię za bluzkę na piersi, biegnij, znajdź tę Żydóweczkę, powiedz dla niej, niech uciekają w las, bo tam już po nich idą!

A Maria zawsze matki słuchała.

—  
TAMCI SOBĄ ZAJĘCI, wcale jej nie widzą, ale Symcha widzi. Stoi babina pokraczna, pogarbiona, w gumiakach, chustce przekrzywionej, z koszem na grzyby, z za drzewa wygląda, jak pół dupy z za krzaka. I nożykiem w dół pokazuje, jakby mu mówiła: „Wracaj do ziemi, wracaj, skąd przyszedłeś”. Na chwilę spotykają się jego czarne oczy z jej niebieskimi, wyblakłymi. I on ją widzi, ale jej nie wyda. Tylko oczami mówi: „Widzę cię, pomóż. To ja, Symcha Klejnot, brat Chaima, nie pamiętasz mnie?”.

Ja nic nie pamiętam – myśli-mówi Maria – ja stara baba, pamięć u mnie zła, zawodna. Mnie tam nie było, ja nic nie zrobiła. Ja pomyłona i ty mnie mylisz z kimś.

Symcha odwraca wzrok, nagle znów obojętny, leży, gdzie go położono, szary, wymoczony, jak odłowiony ze studni studziennik, ze złotą folią pod brodą. No, tu już Maria nic nie pomoże. Zaraz go przez płot przerzucą, z ziemi polskiej wyrzucą, nie będzie człowiekiem, nie będzie problemu.

—  
JAK NIE W LESIE, to będzie Żydóweczka dalej na Siemoniukowym polu, w kukurydzy. Pośród tyk wysokich, trzeszczących, stojących jak żołnierze na warcie w bezwietrzny dzień. Tam już na pewno. Prawie widzi Maria zielony kombinezon, czarnych włosów palemkę ponad kukurydzą. Pokazuje się, to znów znika, susami nad kolbami, jak ta sarna, nim ją wilki pochwytyły.

Ciężko za nią nadążyć. Ciężko iść przez pole, wędrować kukurydzą. Drugiego końca nie widać, tylko te tyki po horyzont, światło ćmi się, przygasa. Ostre liście tną dłonie. Stopy koślawią się, wyginają na bruzdach, więc przysiadła Maria w gliniastej ziemi, zdejmując gumiały, dalej pójdzie boso.

Zaraz za miedzą kolby kukurydzy z żółtych przechodzą w ciemnofioletowe, odmiana Black Mexican, Czarny Meksykaniec, twarze z ziarna pomarszczone, włosy matowe, szare, odłóżące trochę, jak u tego trupka, którego minęła w rowie przy zagajniku. To znaczy sarny, prawie na pewno to była sarna, w jednym tylko bucie, w zielonym kombinezonie.

Zielone w dzień dobre, nocą lepsze czarne. Są czarne, a szkoda, że nie są niebieskie.

Nóg już Maria za bardzo nie czuje, ale widzi, że jedna podpuchła czegoś, większa jest niż druga. Pot na plecach stygnie w lód. Ale przecież iść trzeba, matka kazała. Zanieść chleba, słoniny i może zapytać, czy nie chcą się w oborze schronić, zamiast w błocie w ziemiance. Ta mała, wdowa wariatka, ten stary, co jeść nic nie chce, tylko się kiwa i kiwa, modli i modli, święty człowiek. Niechby nawet chłopaki, Symcha i Chaim Klejnoty, choć to bandyci i już z ruską partyzantką ugadują się. Wszystko przygotowane, krowa, łóżko rozkładane.

—  
KTOŚ TAM WE WSI powiedział, że Siemoniuki urządzili im kąt w oborze, obok krowy, dla ciepła.

Nieprawda, zaciska Maria pięści, to nie oni, to my, to ja! Wszystko pamiętam! Specjalnie pomyślałam, jak krowę przestawić, żeby im miejsca zrobić, sama wszystko obmyślałam, styropianem ociepliłam, materac stary przyniosłam, latarkę i deskę do wsadzenia w okienko, żeby nie było widać



światła. Nawet wiaderko z pokrywką uszykowałam, z Mrówki, nowo kupione. Sama! Ja! Wcale nie Wierka. Bo kto jest Wierka? Chłopska córka, chamka białoruska. Co ona z życia rozumie? Jak jej powiedzą, tak zrobi, głowę pierzyną nakryje i tak całą noc przesiedzi. Nie to, co my, ja i mamusia moja! Nie to, co u nas. U nas tradycja, szabla po pradziadku, jeszcze z powstania! *Trylogii* cały jeden tom!

To ja! To przecież u nas się paliło! Mnie w plecy strzelili!

Bo jeśli nie, skąd krew?

Może od przełazenia boso przez rów pełen potłuczonych butelek, może to szkło weszło w gołą piętę, w miękkie podbicie. Tego jej tylko brakowało! Ból rozpełza się, rwie, przeszkadza iść. A jeszcze i w ręce powbijało się. Maria grzebie się, skrabie, na dłoniach, na kolanach, ale nie bardzo jej idzie, nie bardzo jest się czego chwycić, podeprzeć. O kosz? Ale gdzie ten kosz?

Nie szkodzi. Dalej pójdzie na czterech łapach, jak sarna, choć wolniej.

Krew zostawia ślad na ziemi. Za takim śladem zawsze coś może pójść, wilk, szucman, pogranicznik.

Zachodzi słońce nad Siemoniukowym polem, chłód ciągnie od ziemi, przez dłonie, przez kolana. Przecież już tu byłam, już tędy przechodziłam. Dlaczego świat zakręca, każdy tydzień, każdy miesiąc powtarza się? Dopiero co masz lat dziewięć, zaraz dziewięćdziesiąt. Chwilę temu szła do Puszczy, Arabków nakarmić, ale przed Niemcami schować się musiała, z szosy skręciła, drogi pogubiła i znów jest w lasu pod Siemoniukowym polem, słońce ledwo wstało, a zachodzi już. I zaraz wyjdą z lasu powrotniki, zaraz ją wezmą, ich prawo.

W rowie leży poszarpana sarna, zupełnie do sarny niepodobna. Długie czarne rzęsy kładą się cieniem na szarych policzkach. Maria wzdycha, a potem, na ile da radę, przykrywa dziecięce ciało gałęziami, starą reklamówką. Przecież nie będzie na milicję chłodzić, nie jej to sprawa.

Nie nasza to sprawa, mówi matka. Chyba że już za bardzo zaczną z lasu wyłazić, wystawać, hałasować, za bardzo rozbisurmanią się, nocą podejdą pod dom. Wtedy trzeba myśleć o sobie. Żeby jakiego nieszczęścia z tego nie było.

—  
PIERWSZE KROPLE deszczu uderzają w ziemię, szeleszczą w kukurydzy jak obca mowa. Ciało drętwieje z zimna, zmęczenie ciągnie Marię coraz niżej w dół. Prawie już kładzie się między łodygami, ale żal jej Mikołaja. Bo zbierać chciał, a co, jak ją tu znajdzie umarłą, razem z tymi innymi? Mało miał chłop złego w życiu? Najpierw ten donos, chałupa spalona, rodzice razem z nią, siostrze, Wierce, w plecy strzelili, jak biegła. Żydów powiedzieli na Bielsk, całą czwórkę. Nie dowiedzieli, po



drodze rozstrzelali, pod Kojłami. Nawet tę malutką. Kola się uchował, bo pobiegł w zboże. Jakoś go wieś przechowała, odchowała, wrócił na fundamenty, w końcu pobudował się, a teraz ma kukurydzy całe hektary i ciągnik. Oby się udławił!

Ale jakoś nieładnie, niezręcznie dla sąsiada przykrość robić. Trzeba wstać. Jak tu zemrze, to jeszcze ją splączą, pomylą, nie odróżnią. W Bohonikach pochowają, głową w stronę Mekki. Nie daj Boże! Więc ręką i drugą ręką, i kolano za kolaniem. Byle zdążyć przed nocą.

Jednak nie wstaje. Chociaż jej się zdaje. Że idzie, że biegnie. Wysokimi susami ponad polem, jak sarna.

—  
BIEGNIJ, mówi matka, biegnij, bo na nas wszystkich nieszczęście sprowadzą. Biegnij i powiedz dla pana szucmana, że są Żydzi u Siemoniuków.

—  
CHŁÓD ZABIERA CZUCIE, deszcz zalewa oczy, ale dźwiga się Maria na kolana, a potem

wyżej, bo jak umierać, to na stojąco. Inaczej nie wypada. I staje, stoi, na własnych nogach, pośród kukurydzy, krew z deszczem wsiąka w ziemię.

— Jesteście? – woła. – Symcha? Chaim? Abramek? Gdzieście się pochowali? Wyjdźcie do mnie, Szalomalejkum, chleba wam przyniosłam na zgodę, soli, słoniny. Nie bójcie się, nikomu nic nie powiem, nikt się ode mnie nie dowie! Chodźcie do mnie, powrotniki. Już się was nie boję. Zawsze strachliwa byłam, więc mnie Wierka wami straszyla, że bym z domu nie wychodziła, matce nie powiedziałam, co się u Siemoniuków wyprawia.

A ja powiedziałam.

Wierce w plecy strzelili, dom podpalili. A ja w chałupie pod pierzyną siedziałam, czekałam, aż się uspokoi, aż ucichnie, aż się dym rozwieje. Matka mi dała słoniny, chleba na pociechę, nic się nie martw, powiedziała, już poszły sobie powrotniki, spokój, cisza we wsi. O sobie myśleć trzeba.

Ale ile można tak? Osiemdziesiąt lat.

Weźcie mnie już, zabierzcie. Dajcie zamieszkać ze sobą, w waszym dole, w waszej ziemi. Wpuście do siebie, do ziemi. Ja wasza, ja swoja.

Na dowód pociąga Maria za łańcuszek na szyi, raz i drugi, mocno. I w końcu ogniwo puszcza, wpada złoty krzyżyk, prosty, niełamany, między grudy ziemi. Popycha go jeszcze nogą, idź w ziemię, ostrym do ziemi idź.

Potem znów opada na kolana i coraz wolniej pełźnie wśród tyk, głębiej, dalej, w trzeszczącą, podmarzniętą kukurydzę, tam, skąd słychać szepty powrotników.

Przy odtwarzaniu realiów wojennych korzystałam z tekstu Barbary Engelking *Powiat bielski z tomu Dalej jest noc. Losy Żydów w wybranych powiatach okupowanej Polski* (Warszawa, 2018).

Prozę w „Piśmie”  
wspiera Miasto Gdynia,  
sponsor Nagrody  
Literackiej GDYNIA

NAGRODA  
LITERACKA  
GDYNIA

PROZA POETYCKA

# Nie bądź dzieckiem

MARIA REIMANN

—

Bądź lwem, bądź tygrysem, bądź słoniem. Bądź wilkiem, który nie gubi drogi, bądź węzem, który porusza się bezszelestnie wśród mchów, bądź sową, która nie boi się ciemności.

Nad słuchuj. To twoje ostrożne kroki, to twój oddech. Ale czy obok nie oddycha ktoś jeszcze? Czy czyjeś czujne stąpanie nie łamie gałązek? To bicie twojego serca, to pulsowanie w twoich skroniach. To wiatr między gałęziami. To szept?

Czy obserwują cię drzewa? Czy ich gałęzie mogą zamienić się w długie, suche ręce? Czy złapią cię za ubranie, czy podniosą do góry, czy usłyszysz wtedy straszny śmiech? Czy spod ziemi zaczną wypełzać korzenie, jak macki, chwycić cię za nogi, a ziemia będzie uciekała spod twoich stóp?

Nie biegnij, nie daj poznać po sobie, że już wiesz. Zauważyłeś blask ich oczu w ciemnościach, usłyszałeś pierwsze poruszenia drewnianych stawów, wzbierający w wyprostowanych ciałach oddech. Dyskretnie przyspieszaj kroku, suche gałęzie, które niesiesz, przyciskaj mocno do siebie.

Zanim zdążą się poruszyć, zanim wyciągną długo uspione ramiona, zanim zaczną prostować zdrętwiałe szpony, zobaczysz księżyc, a potem polanę, odbijające się na wodzie jeziora światło i czarne sylwetki dorosłych.

Wchodzisz na polanę spokojnie, bo jesteś lwem, jesteś tygrysem, jesteś słoniem, jesteś wilkiem, sową i węzem. Za plecami słyszysz jeszcze ostatnie westchnienie.

MARIA  
REIMANN

(1982–2023), antropolożka, badaczka, tłumaczka. Współzałożycielka Interdyscyplinarnego Zespołu Badań nad Dzieciństwem w Instytucie Etnologii i Antropologii Kulturowej UW. Autorka książki *Nie przywitam się z państwem na ulicy. Szkic o doświadczeniu niepełnosprawności*. Jej ostatni – nieukończony z powodu tragicznej śmierci – projekt to *Dzieciństwo po rozwodzie. Opieka naprzemienna w perspektywie antropologicznej*.



SOCZEWKA PISMA

# Nareszcie wolni. Twarze Konfederacji

tekst MIROSŁAW WLEKŁY, zdjęcia AGATA GRZYBOWSKA

—  
SZEŚCIORO BOHATERÓW tego tekstu zgłasza na Konfederację.  
Spróbowałam zrozumieć dlaczego.



KON  
WOL

ODDA  
WAM POLSK





KONFEDERACJA  
WOLNOŚĆ I NIEPODLEGŁOŚĆ

WAMY  
SKIEI

#TakChce

Konwencja programowa Konfederacji  
Wolność i Niepodległość



**K**ompleks SPA w centrum Rumi, miasta położonego tuż pod Gdynią, reklamuje się jako jeden z największych hoteli konferencyjnych w Polsce. Hol recepcyjny ma wielkość boiska i niełatwo się tu odnaleźć mimo wskazujących drogę tabliczek. Gdy wreszcie docieram do celu, prostokątnej sali z setkami ciasno ustawionych, wyścielanych białym materiałem krzeseł, nie ma tam nikogo poza organizatorami.

Dwudziestego pierwszego stycznia 2023 roku jestem na jednym z dwudziestu lokalnych prawyborów w Nowej Nadziei. To najsilniejsze, obok Ruchu Narodowego i Konfederacji Korony Polskiej, ugrupowanie tworzące Konfederację Wolność i Niepodległość, nacjonalistyczną, neoliberalną gospodarczo i konserwatywną światopoglądowo koalicję powstałą na przełomie lat 2018–2019.

Po godzinie salę wypełnia tłum, kolejka do głosowania wije się w hotelowym korytarzu. Młodzi mężczyźni, starannie ogoleni lub z misternie podciętymi brodami, ubrani są w eleganckie garnitury. Towarzyszące im kobiety – w wyraźnej mniejszości, stanowią może jedną piątą uczestników – mają na sobie obcisłe spodnie lub spódniczki oraz nieco wyzywające bluzki z głębokimi dekolami.

Jestem świeżo po lekturze książki *Obcy we własnym kraju. Gniew i żal amerykańskiej prawicy* amerykańskiej socjolożki Arlie Russel Hochschild (przeł. Hanna Pustuła-Lewicka). Autorka opisuje pięcioletnie kontakty z mieszkańcami najbardziej prawicowego stanu USA. Próbowwała zrozumieć, dlaczego tak wiele osób w Luizjanie sprzeciwiało się pomocy federalnej, choć ich region był jej największym odbiorcą, dlaczego nie znosili ekologów, gdy ich okolice były tak skażone, i dlaczego głosowali na republikanów, choć korzystali z opieki zdrowotnej w ramach *Obamacare*.

Jako socjolożkę interesowały ją przede wszystkim emocje kryjące się za poglądami politycznymi. Ja nie mam narzędzi socjologicznych, ale i mnie jako reportera zainteresowało takie podejście, a „głęboka opowieść”, czyli metaforyczna reprezentacja doświadczeń wyborców Konfederacji, wydawała mi się intrygująca. Postanowiłem wniknąć do ich dusz, przed czym przestrzegał mnie niejeden z moich znajomych. Niektórzy kategorycznie oświadczyli, że nigdy by z takimi

ludźmi nie rozmawiali, a przedstawicielka stowarzyszenia, które uważałam za ostoję tolerancji, napisała, że nie uczestniczy ono w spotkaniach ze „skrajną prawicą”, nie dyskutuje z nią i w zamian zaproponowała zapoznanie się z raportem pełnym „przykładów nienawistnych wystąpień przedstawicieli Konfederacji”.

Ale im więcej słyszałam takich przestróg, tym bardziej mnie to frapowało. I tym więcej racji przyznawałam słowom Hochschild: „polaryzacja społeczeństwa i coraz bardziej widoczny fakt, że się po prostu nawzajem nie znamy, sprawiają, że zbyt często poprzestajemy na niechęci i pogardzie”.

— NA PRAWYBORACH W RUMI spotykam się ze Zbigniewem Zalewskim. To pierwszy zwolennik Konfederacji, którego poznaję. Odkąd do niego zadzwoniłam, jeszcze w 2022 roku, jest zaintrygowany moją propozycją, prosi o chwilę do namysłu, chce naradzić się z matką i dziewczyną, aż w końcu ciekawość przeważa nad obawami.

Ma trzydzieści dwa lata, nosi starannie przyciętą brodkę i jest prawnikiem, a jego skromna kancelaria, urządzona w piwnicy bloku mieszkalnego w Rumi, mieści się naprzeciw dworca kolejowego, więc w styczniowy dzień śnieg z deszczem nie zdąży mnie przemoczyć, gdy biegnę z pociągu na rozmowę. Zalewski wybrał to miejsce dla wygodny klientów przyjeżdżających koleją. Większość z nich jest spoza Rumi.

Zaprasza mnie do środka, siada przy biurku, ale zaraz orientuje się, że nie jestem przecież jego klientem, i dosiada się naprzeciwko mnie do stołu. Dystans maleje, pijemy muszynieczkę ze szklanych butelek.

– Nienawidzę komunistów – deklaruje na początku rozmowy. Swoje poglądy odziedziczył po rodzicach, parze stomatologów, szczególnie po ojcu, zdeklarowanym antykomuniście. Kiedy Zbyszek miał czternaście lat, ten podsunął mu *Archipelag GULag* Aleksandra Sołżenicyna. – U nas w domu zawsze panowała prawica, prawdziwa prawica.

W pierwszych demokratycznych wyborach prezydenckich jego rodzice zagłosowali na Lecha Wałęsę, choć cenili też Tadeusza Mazowieckiego. Ale w 2005 roku, w myśl zasady „im bardziej na prawo, tym lepiej”,

oddali głosy na Prawo i Sprawiedliwość (PiS). Zbyszek miał wtedy piętnaście lat i zapamiętał akcję „Zabierz babci dowód”. Rodzice nie byli emerytami, mieli wyższe wykształcenie i dobry fach w rękach, niełatwo było ich obśmiać. W dodatku ojciec na nikogo się nie obrażał, a o polityce dyskutował spokojnie, używając wyważonych argumentów.

W liceum w Sopocie słyszał przytyki: że PiS to moherowe berety, że zaścianek i nic dziwnego, że takie poglądy ma chłopak z Rumunii, bo tak na Kaszubach prześmiewczo nazywają Rumię.

W 2007 roku umarł ojciec Zbyszka, a on zanurzył się w lekturze Milтона Friedmana, Friedricha von Hayeka i stał się gospodarczym liberałem. Zaczął kibicować Kongresowi Nowej Prawicy (KNP). Bo choć Janusz Korwin-Mikke wkurzał czasem zbyt ciętym językiem, to miał wyraziste poglądy. I był prawnikiem. Kiedy w 2014 roku polityk kandydował do Parlamentu Europejskiego, Zbyszek denerwował się przed telewizorem, przez telefon debatował z przyjacielem, aż w końcu otworzył schłodzonego szampana.

– Byłem tak zwanym kucem [tak określa się bezkrytycznych sympatyków nurtu korwinowskiego – przyp. M. W.] i gdy Korwina usunęli z KNP, poszedłem za królem – wspomina. Bez zastanowienia zgłosił się do zbierania podpisów dla partii KORWiN przed kolejnymi wyborami. Rodzina nie miała wyboru (korwinizmem zaraził młodszego brata i mamę), sąsiedzi podpisywali, o nic nie pytając, i tylko w kancelarii, w której pracował, niektórzy się krzywili.

Dziś czuje, że jest w mniejszości, ale uparcie broni swego. Nie akceptuje tego, że można zabrać Iksińskiemu, żeby dać Kowalskiemu, przez co rozumie aparat państwowy i jego system redystrybucji: zabezpieczenia socjalne, pięćset plus, dofinansowane kredyty. Ubolewa nad tym, że państwo przestaje być strażnikiem porządku publicznego, zaczyna za to ingerować w gospodarke.

– Sprawiedliwość to sprawiedliwość. Jeśli dodajemy „społeczna”, traci swoje podstawowe znaczenie. Coś jak „demokratyczna republika ludowa”. Konglomerat sprzecznych pojęć – uważa. Żałuje, że większość Polaków myśli inaczej.

Musimy zrobić przerwę, bo do Zbyszka przychodzi klientka. Standardowa sprawa rozwodowa.

Idę na obiad, w Rumi leje, a kiedy prze-moczony wracam do kancelarii, Zbyszek opowiada, że fali rozwodów spodziewano się w pandemii, ale prawdziwy wysyp widzi dopiero teraz. Nie wyobraża sobie, by instytucja rozwodu została usunięta z kodeksu rodzinnego.

– To by raczej wpłynęło na więcej zabójstw w społeczeństwie. Wychodzę z założenia, że związek jest po to, żeby służyć ludziom i rozwód jest również dla nich. W prawie cywilnym normy katolickie nie powinny mieć nic do rzeczy. Przy czym uważam, że małżeństwo to związek kobiety i mężczyzny – zaznacza.

Kiedy przypominam, że Sławomir Mentzen jest za wprowadzeniem tak zwanych nierozzerwalnych małżeństw, Zbyszek tłumaczy, że sprawy ideowe są w tej chwili dla Polski najmniej istotne, ale współlider Konfederacji – zdając sobie sprawę ze znacznej części konserwatywnego i tradycjonalistycznego elektoratu – nie chce zostawiać monopolu w tym zakresie Krzysztofowi Bosakowi i Grzegorzowi Braunowi. Cieszy się, że Mentzen zastąpił Korwina w roli lidera partii, bo choć ceni tego ostatniego, to uważa, że jego poglądy i wypowiedzi należało w końcu schować w szafie: że „za Hitlera były niższe podatki” (fakt, pod warunkiem że podany we właściwym kontekście), że „Rosja ma rację” (niedopuszczalna i skrajna głupota), że „niepełnosprawni to debile, którym nie warto poświęcać uwagi”. To

ostatnie Zbyszek odebrał osobiście. Jeszcze w czasie studiów w 2010 roku zdiagnozowano u niego stwardnienie rozsiane. Daje radę, przyjmuje nowoczesne leki, stara się nie przejmować chorobą.

Tamtego dnia rozmawiamy długo i na różne tematy. – Poznam cię z mamą. I z młodszym bratem, jak wróci z morza, bo na statku jest stewardem. No i z dziewczyną – zapowiada. Razem są od ośmiu lat. Mariola, która tego lata skończyła trzydziści jeden lat, jest kierowniczką sklepu odzieżowego w galerii handlowej. I jak „typowa kobieta”, zdaniem Zbyszka, nie jest zbyt zainteresowana polityką.

– Ale nie mamy takiego modelu związku jak Korwin, w którym mężczyzna o wszystkim decyduje. Nie jestem despotą – zaznacza. – Dopuszczam ją do wielu decyzji, rozmawiam z nią, radzę się jej, choć ona jest świadoma, że w pewnych obszarach jako mężczyzna jestem lepszy, sprawniejszy, i to akceptuje.

– Dopuszczasz ją?

– Kiedyś byłem zwolennikiem nurtu tradycjonalistycznego: mężczyzna zarabia, a kobieta troszczy się o dom. Ale my nie mamy takiego modelu. Życie zweryfikowało moje ambicje co do prognozowanych zarobków. Poza tym teraz uważam, że to dobrze, gdy kobieta też pracuje.

Żegnamy się przed wejściem do bloku. Kulki gradu objają mi twarz, wiatr zwiewa z głowy czapkę.

Na początku marca, gdy po raz trzeci od-wiedzam Zbyszka w Rumi, w końcu poznaję jego dziewczynę.

Zbyszek wychodzi mi naprzeciw, ale zagaduje się przy ławce z dawnym kolegą, który – jak się dowiem później – niedawno wyszedł z więzienia, i nie zauważa, jak przechodzę. Drzwi do mieszkania otwiera mi Mariola. Sympatyczna brunetka z rozpuszczonymi włosami zaprasza do zastawionego oliwkami, faszerowanymi papryczkami, serami i chipsami stołu. Na Pomorze przyjechała na studia z Mazur, tu się poznali.

Mieszkanie jest niewielkie: sypialnia i raczej ciasny salon z aneksem kuchennym, w którym o swoje miejsce walczą trzy koty, oraz balkon z przyjemnym widokiem na pagórkowate okolice Rumi. W telewizorze: TVN24.

Zdyszany Zbyszek wpada po chwili i niesie nam po piwie.

– Mariola zrobiła gigantyczny postęp. Gdy się poznaliśmy, wiedzę historyczną miała średnią, nie była fanką polityki. A ze mną to... – Zbyszek przeży pierś, a Mariola wybuchła śmiechem.

– Dużo rozmawialiśmy, Zbyszek polecił mi jedną książkę, potem drugą (na początek biografie Lenina i Trockiego) – mówi kobieta.

– Zmieniłaś pod jego wpływem przekonania polityczne?

– U mnie w domu o polityce się nie rozmawiało. Nawet nie wiem, na kogo rodzice głosowali. Sama na wybory nie chodziłam. Gdy zaczęłam dyskutować ze Zbyszkiem, zgadzałam się z wieloma jego poglądami, odkryłam, że wcześniej czułam podobnie. Więc od początku się dogadywaliśmy.

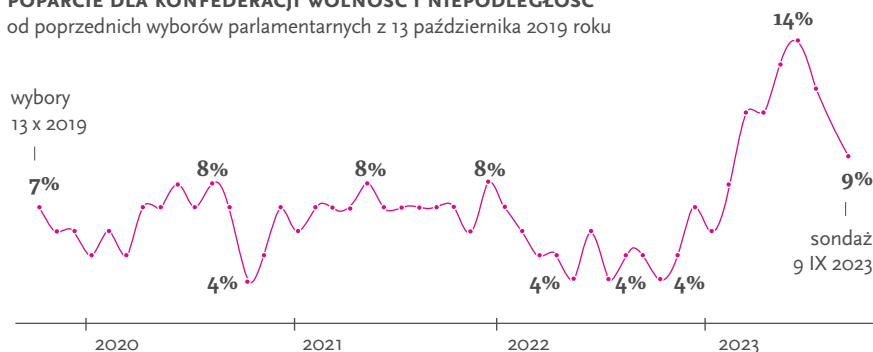
Dopytuję Mariolę o „dopuszczanie do decyzji” i przewagę mężczyzn w pewnych aspektach, o których podczas pierwszego spotkania opowiadał mi Zbyszek.

– To naturalne – mówi. – Też go dopuszczam do zajmowania się domem, gotowania, sprzątaniam, bo wcześniej tego nie robił. Zbyszek pyta mnie o zdanie na tematy związane z jego zawodem, z naszymi inwestycjami, które są jego działką i w których jest lepszy. Potrafi sprawnie i trafnie podjąć decyzję, z czym ja niekiedy mam problem.

Już po pierwszym spotkaniu Zbyszek obiecuje przedstawić mi innym konfederatom, być może znajdzie się wśród nich chętny do rozmowy. Zapewni ich, że żaden ze mnie lewak.

#### POPARCIE DLA KONFEDERACJI WOLNOŚĆ I NIEPODLEGŁOŚĆ od poprzednich wyborów parlamentarnych z 13 października 2019 roku

wybory  
13 X 2019



Źródło danych: IBRIS, sondaże preferencji wyborczych z lat 2019–2023.